Rok 1901. Lwów, 17. Marca Nr. 11.

TYGODNIK NARODOWY

POLITYCZNY, SPOŁECZNY, EKONOMICZNY i LITERACKI

ILLUSTROWANY

wychodzi każdej niedzieli

pod redakcyą Klemensa Kołakowskiego.

WARUNKI PRENUMERATY

(z przesyłką pocztową)

W Austryi i Węgrzech	koron:	rocznie 16·—	półrocznie 8·—	kwartalnie 4·—	miesięcznie: 1·40
W Rzeszy niemieckiej	marek:	„ 16·—	„ 8·—	„ 4·—	„ 2·—
W innych krajach europ.	franków:	„ 20·—	„ 10·—	„ 5·—	„ 2·—
W Ameryce północnej	dolarów:	„ 4·—	„ 2·—	„ 1·—	„ 1/2
W Ameryce południow.	franków:	„ 25·—	„ 13·—	„ 7·—	„ 3·—

PRENUMERATĘ należy uiszczać zgóry.

Najdogodniej jest przesyłać pieniądze przekazem pocztowym adresując:

Administracya „TYGODNIKA NARODOWEGO“ Lwów Cicha 5.

Prenumeratę przyjmują wszystkie księgarnie w kraju i za granicą oraz Biura dzienników.

Numer pojedynczy kosztuje 40 halerzy.

OGŁOSZENIA

po 12 halerzy od wiersza petitowego w jednym łamie przy umieszczeniu jednorazowem. Ogłoszenia kilkurazowe za stosownym rabatem.

DONIESIENIA w rubryce „NADESŁANE“ po 30 hal. od wiersza.

DROBNE OGŁOSZENIA po 3 halerze od wyrazu.

ZAŁĄCZNIKI do „Tygodnika Narodowego“ po 2 korony od 100 egzempl.

Ogłoszenia (płatne we Lwowie) przyjmują: Administracya „Tygodnika Narodowego“ we Lwowie, przy ul. Cichej l. 5., oraz Biura ogłoszeń w kraju i za granicą.

Biuro Redakcyi znajduje się we Lwowie, przy ul. Wałowej l. 11.

Biuro Administracyi znajduje się we Lwowie, przy ul. Cichej l. 5.

Rok 1901. Lwów, 17. marca Nr 11.

TYGODNIK NARODOWY.

Redaktor: Klemens Kołakowski. Redakcya we Lwowie, przy ul. Wałowej l. 11., Administracya przy ul. Cichej l. 5.

Treść Nr. 11:

Zawieszenie broni.
Tydzień polityczny.
Dr. Kazimierz Rakowski: Przez ciernie i głogi (Dokończenie).
Stanisław Kramsztyk: Jeszcze o ludziach planetarnych.
Kazimierz Wróblewski: Młodość Kornela Ujejskiego (Dokończenie).
Henryk Zbierzchowski: Uroczysko. (Wiersz).
Wzgardzone cnoty.
Pogadanka naukowa. (Mowa małp).
Bertold Menkes: Pani Solska.
h.—z.: Muzyka.
b.—m.: Teatr.
Nowości literackie.
Ze świata.
Bańki mydlane.
Ogłoszenia.
Ryciny: Uroczystość poświęcenia wodociągu we Lwowie dnia 9 b. m.— Pani Solska (fotografie).

Zawieszenie broni.

W chwili, kiedy utracono prawie już wszelką nadzieję, że uda się jeszcze przywrócić stosunki prawidłowe w przedlitawskiej radzie państwa, i radykaliści niemieccy i czescy posunęli się tak daleko w swem zacietrzewieniu, iż wywoływali codziennie karczemne burdy i bójki w parlamencie, nastąpiła nagle cisza. Od dwóch dni rada państwa pracuje spokojnie. Radykalni agraryusze i robotnicy czescy dokładają wprawdzie wszelkich starań, aby zakłócić obrady, wygłaszają ku wielkiemu oburzeniu prusofilów długie mowy w języku czeskim, zabierają bez pozwolenia głos i dopuszczają się rozmaitych innych wybryków, ale wszystko to ma teraz już tylko znaczenie przemijających epizodów. Izba nie troszczy się o krzyki jednostek radykalnych, nikt ich nie popiera, i w przeciągu dwóch dni załatwiono się szczęśliwie z pierwszem czytaniem ustawy o poborze rekrutów, oraz postąpiono już dziś daleko w obradach nad podatkiem spirytusowym. Kiedy po raz pierwszy młodoczesi, wbrew swej dotychczasowej taktyce, nie stanęli w obronie rodaków, którzy dążą konsekwentnie do wywoływania scen hałaśliwych, lecz przyglądali się spokojnie, gdy prusofile obrabiali pięściami posła robotniczego Fressla, na ławach niemieckich zapanowało bezgraniczne zdumienie. Nie umiano zdać sobie w pierwszej chwili sprawy z tej nagłej zmiany postępowania, i Czesi po raz pierwszy od lat kilku stali się przedmiotem powszechnej owacyi, a najgorliwiej klaskali ich przeciwnicy narodowi.

Cóż się stało? Pisma lewicy niemieckiej zapewniają, iż posłowie czescy mieli poufną rozmowę z prezesem ministrów i dowiedzieli się od niego, że w razie dalszej obstrukcyi nastąpi w polityce rządu zwrot bardzo dla nich niekorzystny. Zlękli się więc i postanowili zachowywać się spokojnie. Prawdą też jest, że posłowie czescy byli u p. Körbera i nawet odbyli z nim kilka konferencyi, o których przebiegu przed kilku dniami rozmaite obiegały pogłoski. Zmienili jednak swą taktykę nie z obawy przed rządem, lecz dlatego, że przekonano ich nareszcie, iż przez obstrukcyę nic nie osiągną, utracą znaczenie w radzie państwa, a dopomogą swoim przeciwnikom do zdobycia większych jeszcze wpływów.

Czyim staraniom parlament zawdzięcza chwilkę względnego spokoju, to wiemy bardzo dokładnie z oświadczenia marszałka na pierwszem posiedzeniu spokojnem. Na początku obrad marszałek w serdecznych słowach podziękował Kołu polskiemu za skuteczną pracę nad przywróceniem stosunków prawidłowych w izbie i wysunięcie na plan pierwszy najważniejszych wniosków rządowych. Sprawa ta przedstawia się cokolwiek inaczej, niż twierdzą Niemcy. Kołu polskiemu udało się osiągnąć cel, do którego dążyło już przed rokiem, skłonić Czechów do porzucenia bezowocnej obstrukcyi, przez którą brali na siebie odpowiedzialność za nieład panujący w izbie, a wstąpienie na drogę polityki realnej, gdzie przez ustępstwa, zrobione rządowi, mogą osiągnąć praktyczne ustępstwa dla siebie. Skutkiem tego wszystkie te grupy parlamentarne, które w przeszłym parlamencie należały do związku prawicy, zbliżyły się znów do siebie, i jakkolwiek nie stanowią większości, to wywierają jednak wpływy potężne. Czesi, zgadzając się na porzucenie taktyki obstrukcyjnej, nie zyskali wprawdzie nic pod względem narodowym, ale tem więcej na polu ekonomicznem. P. Körber, który właśnie kilka dni przedtem oświadczył pompatycznie w izbie panów, że powróci da taktyki hr. Thuna i nie będzie zjednywał stronnictw opozycyjnych przez ustępstwa, zdecydował się natychmiast na tę potępioną przez siebie politykę, gdy nadarzyła się sposobność. A Koło polskie? Koło otrzymało z ust marszałka publiczne podziękowanie, ułatwiło zrównoważenie budżetu galicyjskiego, jeżeli ustawa o podatku spirytusowym rzeczywiście będzie uchwalona, wreszcie zaś zdobyło przyrzeczenie, że rząd pokryje koszta kilku kolej lokalnych. Jest to w porównaniu z tem, co uzyskali Czesi, nie wiele, ale ostatecznie i to lepsze od zamętu, w którym niepodobna było załatwiać nawet najżywotniejszych spraw krajowych.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Rozprawy polskie w parlamencie niemieckim.

Obadwa parlamenty berlińskie coraz częściej bywają dziś areną zapasów na tle tak nazywanej tam sprawy polskiej.

W poniedziałek w izbie poselskiej sejmu pruskiego rozwinęła się znowu energiczna rozprawa nad położeniem katolików i polaków w Prusiech.

Poseł z centrum katolickiego, Bachem, żądał dla katolików niemieckich tych samych względności i swobód, jakich używają mniejszości protestanckie w innych krajach, np. w Austryi. Wskazujecie nam zawsze — mówił Bachem — naprzykład katolików w państwach katolickich; dlaczego nie wskażecie na Anglią, Stany Zjednoczone Północnej Ameryki, wogóle na państwa, gdzie protestantyzm przeważa, a gdzie mimo to Kościół katolicki używa niczem nieograniczonej wolności?

Następnie przeszedł Bachem do kwestyi polskiej. Rząd traktuje polaków mało-

dusznie. Wchłonięcie żywiołu polskiego drogą przyrodzonego procesu odświeżyłoby krew naszą. Ale system dzisiejszy stwarza stosunki haniebne. Przedewszystkiem obowiązkiem jest rządu wyprzeć się wszelkiej solidarności z hakatyzmem. Związek ten wpycha się klinem pomiędzy ludność polską a rząd i usiłuje w sposób jednostronny wpływać na politykę państwową. Mówca stwierdza wszelako, że i po stronie polskiej gospodarzy prąd skrajny, równie zgubny jak hakatyzm niemiecki. Strach patrzeć, do jakiego stopnia wzięły górę w Poznaniu żywioły skrajne. Z Prus zachodnich agitacya polska przeniosła się do Warmii, z W. Ks. Poznańskiego do Górnego Szlązka. Jeżeli w Poznańskiem agitacya nie uspokoi się, wyjdzie to na dotkliwą szkodę polaków.

Minister oświaty i wyznań, dr. Studt, oświadczył: Nie stoję osobiście w żadnych stosunkach ze związkiem hakatystów i nie pozwalam mu wpływać na moje postanowienia. Ale prasa katolicka przedstawia charakter i działalność tego związku jednostronnie. Prasa ta nie znalazła jednego słowa współubolewania nad systematycznem wynaradawianiem naszej braci katolickiej w prowincyach polskich. Wywody p. Bachema w sprawie polskiej są czysto teoretyczne, a „wszelka teorya jest szara".

Nie schodząc widocznie z pola teoryi, zauważył minister Studt dalej: Nie sądzę, aby kiedykolwiek dało się osiągnąć zupełne pororumienie pomiędzy Kościołem a państwem. Kościół katolicki z natury swojej nie może poczynić pewnych ustępstw, a państwo ze swojej stsony nie może także. Z tych powodów zapewnił p. minister, że niema mowy o jakiejkolwiek rewizyi ustawodastwa kościelnego.

Poseł Mizerski usprawiedliwiał wzrost radykalizmu narodowego w Poznańskiem koniecznością odporu przeciw nawale germańskiej, a poseł Głowacki dowodził, że jedynym środkiem zapobieżenia gwałtownemu wzrostowi socyalizmu na Szlązku pruskim, byłoby zaprowadzenie napowrót nauki religii w języku polskim.

Manifestacye czeskie w Pradze.

Radykalni Czesi Klofacz i Fressl przenieśli walkę polityczną z parlamentu na ulicę, aby zmusić Młodoczechów do nowej zmiany postępowania. Ugoda z rządem i porzucenie taktyki obstrukcyjnej nie zgadza się z ich zamiarami, a może też tylko z ich ambicyą, bo nie pozwala im odgrywać roli wybitnej w radzie państwa. Szczególnie zaś oburzyła ich neutralność Czechów na pierwszem „spokojnem" posiedzeniu izby, kiedy radykalni Niemcy zbili Fressla niemiłosiernie za obrazę marszałka Pradego.

Nie posiadając wpływów w parlamencie, ani też nie należąc do klubu młodoczeskiego, radykalsci agitują w kraju przeciw nowej taktyce Młodoczechów i urządzają hałaśliwe manifestacye, aby poruszyć tłum, wywołać opozycyę i przez to wywrzeć nacisk na stronnictwo kierujące. Przed redakcyą *Narodnich Listów* urządzono wielką manifestacyę. Poseł Klofacz wygłosił do zebranego tłumu mowę, w której nazwał postępowanie Młodoczechów zdradą i oświadczył, że należy dążyć koniecznie do rozbicia parlamentu i przeniesienia wszelkich prac prawodawczych do sejmów krajowych. Zanim zaś to nastąpi, trzeba sejmy te zupełnie zdemokratyzować. Mężowie zaufania czeskiego stronnictwa robotniczego zebrali się na naradę, aby uchwalić manifest tej samej treści i rozrzucić pomiędzy ludem.

Agitacya radykalistów zaczyna wydawać już owoce. Główny organ stronnictwa młodoczeskiego, *Narodni Listy*, ulękły się i żądają zwołania młodoczeskich mężów zaufania, celem wydania opinii, czy należy pochwalić zmianę taktyki w radzie państwa.

Włochy a trójprzymierze.

Na ostatniem posiedzeniu parlamentu włoskiego, poseł Guerci zażądał od ministra spraw zagranicznych, Prinetti'ego, wyjaśnienia, czy rząd zamierza odnowić sojusz zaczepno-odporny z Niemcami i Austryą. P. Prinetti na zapytanie to nie odpowiedział. Oświadczył tylko, że wiadomość o jego rozmowie z posłem bawarskim, wobec którego rzekomo zapewnił, że zmienił swoje zapatrywanie na trójprzymierze, jest nieprawdziwym, bo takiej rozmowy wcale nie było. Wreszcie minister dodał, że w polityce swojej będzie kierował się wyłącznie względami na interesy kraju.

Odpowiedź Prenetti'ego, który, jako poseł, był stanowczym przeciwnikiem trójprzymierza, zaniepokoiła Niemców tem więcej, że od niedawnego czasu obiegają głuche pogłoski o bliskiem zawarciu przymierza pomiędzy Włochami i Francyą. Wprawdzie we Francyi zapewniają, że chodzi tylko o zawarcie nowego traktatu handlowego: ale jeżeli stosunki handlowe Włoch z Francyą polepszą się jeszcze a pogorszą się z Niemcami, gdzie konserwatyści domagają się znacznego podwyższenia ceł, to także sojusz polityczny będzie zagrożony.

Zmiana regulaminu obrad w izbie gmin.

Anglicy załatwili się z przedsięwziętą przez Irlandczyków próbą zakłócenia spokoju obrad w parlamencie. Pierwszy lord skarbu, Balfour, podał wniosek z zmianę regulaminu obrad, a mianowicie o rozszerzenie pełnomocnictw *speakera* (marszałka) i większość izby zgodziła się na to po krótkiej dyskusyi. Uchwalono wniosek w formie, proponowanej przez Campbell-Bannermann'a. Według nowego regulaminu, *speakerowi* przysługuje prawo wyłączenia posłów, których trzeba było przemocą wydalić z izby, na resztę sesyi parlamentarnej. Przywódzca Irlandczyków Redmond stwierdził, że wniosek Balfour'a jest skierowany bezpośrednio przeciw posłom irlandzkim, i dodał, że posłowie ci nie myślą sprzeciwiać się jego uchwaleniu, bo uważają karę, którą grozi im nowy regulamin, za zaszczyt. Żadne zaś przepisy regulaminu nie powstrzymają ich od użycia wszystkich dostępnych środków, ilekroć chodzić będzie o obronę słusznych praw Irlandyi. Balfour zwrócił uwagę, że oświadczenie przywódzcy irlandzkiego wystarcza najzupełniej na uzasadnienie zmiany regulaminu. Zmianę uchwalono 264 głosami przeciw 51.

Zaciekłym przeciwnikom Irlandczyków nie wystarczała zmiana regulaminu. Zażądali oni, aby nowe prawo obowiązywało niejako wstecz, i jeden z nich, Dillon, podał wniosek o wyłączenie na ciąg całej sesyi tych posłów, którzy wywołali ostatnią scenę hałaśliwą, inny, Hough Cecil, nawet aby ukarano ich więzieniem. Pierwszy wniosek odrzucono 413 głosami przeciw 79. Przeciw drugiemu oświadczył się lord skarbu, Balfour, a skutkiem tego, wnioskodawca cofnął swe żądanie. Irlandczycy jednak zażądali głosowania, i wniosek odrzucono formalnie 426 głosami. Nie głosował za nim nikt.

Z Hiszpanii.

Umysły w Hiszpanii nie uspokoiły się jeszcze i nie prędko powrócą do równowagi, w opinii publicznej zaczyna jednakże objawiać się pewien zwrot, świadczący, że część narodu, znająca położenie i licząca się z danemi warunkami, odzyskuje wiarę w przyszłość. Stronnictwo konserwatywne zbankrutowało już doszczętnie i dzisiaj rozprószone resztki jego błądzą bez przewodnika. Canovas trzymał je w jakim takim porządku, po śmierci jego w r. 1897 nowy przywódca Silvela czynił wszystko, ażeby zupełnie zdyskredytować konserwatystów wobec narodu i korony. Wycieńczony skarb państwowy, ruina ekonomiczna kraju, chaos w dziedzinie życia politycznego, socyalnego i religijnego, oto spadek po konserwatystach. Objął go Azcarraga, poczciwy generał, o którym opowiadają, że obok pałasza, nosi na każdy wypadek i różaniec. Azcarraga rządził nie długo i przyznać trzeba, że przynajmniej dymisyę przyjął bardzo ochotnie.

Królowa regentka wobec grozy położenia postanowiła wreszcie powierzyć ster rządów Sagaście, a uczyniła to nie bez walki wewnętrznej. Nowy prezydent gabinetu i przywódca liberałów zamierza przedewszystkiem nawiązać z Watykanem rokowania, ażeby położyć wreszcie kres gospodarce zakonów, które zasobami kapitałów zabijają przemysł i rękodzieła, a potęgą wpływów sięgają nawet do życia prywatnego. Następnie postawił sobie Sagasta za zadanie skonsolidować skarb państwa, zaprowadzić oszczędności, uregulować walutę i zreformować administracyę. Jeżeli sędziwy mąż stanu rozwinie należytą energię i spełni przynajmniej znaczniejszą część zadania, wówczas nie braknie dla niego zaszczytnej karty w dziejach ojczyzny.

Z Afryki południowej.

Prędzej niż rachowano, kończy się partyzantka boerów. Genialny jej przedstawiciel w Transwaalu, Krystyan Dewet, rozczarowawszy się w kraju Przylądkowym, którego ludność holenderska nie powstała gromadnie za jego pojawieniem się, powrócił na ziemię orańską i w kilkaset ludzi pomyka na Północ. Przypuszczają, że jest obecnie w okolicy Kronstadu. Dowodzi wszakże garstką, która niemal nic nie waży wobec dwakroćstotysięcznej armii angielskiej. Generalissimus boerów, jenerał Ludwik Botha, czarniej widocznie patrzy na położenie sprawy narodowej od Krystyana Deweta. W dniu 27 z. m. na wzgórzu pod Middelburgiem zjechał on się samotrzeć z lordem Kitchenerem i nawiązał z nim rokowania o poddanie się reszty partyzantów pod warunkiem wytargowania amnestyi, odszkodowania tych boerów, którym zniszczono mienie i godziwych warunków samorządu obu podbitych republik.

Co do tego ostatniego warunku jest wątpliwe, czy rząd angielski pozwoli Kitchenerowi układać się z Bothą. Jest to kwestya polityczna, a Botha jest tylko żołnierzem, przyciśniętym do muru i bądź co bądź zmuszonym kapitulować.

Dr. Kazimierz Rakowski.

Przez ciernie i głogi.

POWIEŚĆ.

(Dokończenie).

„Zjem dobry obiad, a potem utopię się" rzekł do siebie i lekkim, pewnym krokiem wszedł do restauracyi.

Kazał sobie dać zupę, jedno i drugie mięso, wypił koniak, kufel piwa monachijskiego, a potem zabrał się do deseru i zakończył czarną kawą. Delektował się każdym kąskiem, każdym łykiem.

Był już zmierzch, gdy zawołał na kelnera: płacić! Obiad wyniósł okrągłe dwie marki. Staś wstał, wytrząsnął z kieszeni wszystkie pieniądze, ubrał się, kelnerowi, który mu chciał doręczyć resztę, skinął, że nie trzeba, i wyszedł, żegnany uniżonymi ukłonami.

Owiał go chłodny, przejmujący wiatr, zmięszany z deszczem, i przywiódł do przytomności. Najbliższem zadaniem jego było poszukanie ciepłego kąta. Zapiąwszy szczelnie palto i podniósłszy kołnierz, poszedł do jednej z dostępnych dla publiczności bibliotek. Tam w czytelni przepędził pozostałą część dnia, aż do dziewiątej wieczorem. O dziewiątej zamykano — więc musiał opuścić chwilowy przytułek.

Idąc z „pod Lip" ulicą Fryderykowską w stronę dworca kolejowego, spostrzegł coś na ziemi. Był to bilet drugiej klasy na obwodową kolej miejską. Niewiele myśląc, skierował się ku dworcowi i wsiadł do przedziału klasy drugiej. Bilet był ważny na całą linię, więc Staś rozparł się wygodnie i pozwolił się obwozić w kółko po Berlinie. Z razu do przedziału, w którym jeździł, wsiadało dużo osób, potem ruch się zmniejszał, pora była późna, — aż wreszcie o wpół do drugiej w nocy z drzemki wyrwał Stasia głos wołający: *Rummelsburg! Alles aussteigen!* Stacya końcowa: wszyscy mieli opuścić pociąg.

Staś postanowił pozostać na noc w przedziale. Gdy urzędnik kontrolujący przedziały w jego wagonie stwierdził, że pierwsze z brzegu były puste, i zbliżał się do jego przedziału, Staś szybko przeszedł do pierwszych i pośród panującej ciemności wygodnie się rozpostarł na ławce. Po chwili już spał.

Obudził go dopiero ruch pociągu nazajutrz.

Począwszy od samego rana ścisk w wagonach był straszny. Sobota przed Bożem Narodzeniem jest dniem wszystkich zapomnianych a pilnych zakupów.

Do godziny drugiej po południu Staś jeździł wciąż koleją. Potem ból głowy, który się wzmagał przy każdym obrocie kół wagonu, zmusił go do opuszczenia pociągu. Wysiadł więc i poszedł do muzeum. Lecz o trzeciej musiał i stąd uchodzić, zziębnięty, zgłodniały. Biblioteki były pozamykane, nic mu zatem nie pozostawało innego, jak włóczyć się po mieście.

W głowie czuł szum, jakby powiew wiatru nad tysiącem drzew w lesie, nogi go jednak unosiły jakoś bezwiednie wciąż naprzód.

Wreszcie zmrok zapadł i pierwsza gwiazda się pojawiła na niebie. W kraju u niego siadano o tej chwili do wieczerzy wigilijnej. W oknach, na których lód mrozem ściśnięty uformował wzory i desenie przepiękne, zaczęły się ukazywać światła. Tu i owdzie rzęsiste oświetlenie przebijało jasnym blaskiem na ulicę z poza warstwy lodu, osiadłego na szybach.

Gwiazdy zaczęły się iskrzyć coraz bardziej, śnieg chrzęścił pod nogami.

Skostniały, fioletowy od zimna, zgłodniały — Staś błądził bez celu i myśli.

Biegły tak chwile, aż wreszcie z poza różnych szyb dolatywać zaczęły dźwięki pieśni, którą Niemcy śpiewają: „*O stille Nacht, du heilige Nacht*" a tu i owdzie odgłosy pieśni: „*O Tannenbaum*".

Stasiowi nogi odmówiły posłuszeństwa. Oparł się, bezwładny, plecami o jakiś mur i oczy wlepił w jedno z tych oświetlonych okien, z za których dolatywały dźwięki szczęścia i wesela. Łzy jedna po drugiej, spływały po wychudłej jego twarzy, a serce miało tylko uczucie nieokreślonej tęsknoty i fizycznego zmęczenia.

Potem jakgdyby mgła jakaś przesłaniać zaczęła jego oczy. Miał wrażenie, że ktoś mu uniósł w górę czaszkę i odkrył mózg, a na ten mózg otwarty padał śnieg grubymi płatami i topniał.

Potem nie był wstanie utrzymać się już na nogach i usiadł w śniegu. Przechodniów wcale prawie nie było. Ulica była pusta. Tak mijała minuta za minutą.

Staś nie czuł, ani nie wiedział, gdy go, zupełnie skostniałego z zimna zawiózł dorożką żandarm na odwach policyjny, sądząc, że ma do czynienia z pijakiem. Nie czuł i nie wiedział tego, że na twardej ławie zostawiono go przez całą noc w areszcie. — Gdy rano wreszcie lekarz z pogotowia ratunkowego stanął przy nim, wychudłe policzki Stasia, na których gorączkowe wypieki się paliły, błędny zwrok i drżące ciało — wszystko to mówiło wyraźnie, że śmierć już wyciąga dłonie po to biedne, zmęczone stworzenie.

Umarł w szpitalu na — zapalenie płuc.

Gdy w pewien czas po jego śmierci wieść o jego smutnym losie doszła do Siekierzyna, kilku ojców, mających synów w gimnazyum, powiedziało do nich: „Patrzcie, do czego to prowadzi — gdy młodzież bawi się w politykę".

* * *

Na szali odkupienia naszych win przybyło źdźbło piasku — ofiara męki życiowej jednego biednego chłopca, którego zmogła,... polityka.

Stanisław Kramsztyk.

Jeszcze o ludziach planetarnych.

Ilekroć wybiegamy myślą po za szranki ziemi i rozglądamy się po rozległych przestrzeniach świata, nasuwa się nam pytanie, czy życie wyłącznym tylko planety naszej jest objawem, czy też rozkwita i na innych, dalekich od nas bryłach, czy i tam zwłaszcza przebywają istoty rozumne, które nas może wyprzedziły na drodze rozwoju umysłowego. Odkąd, ze zwycięstwem astronomii kopernikowej, ziemia zepchnięta została z naczelnego swego stanowiska i planety uznano za równorzędne jej światy, zaczęły się snuć rojenia o ich zaludnieniu, a jednym z pierwszych co je oparł na gruncie naukowym, był wielki Huygenes; przed nim już zresztą Jezuita Atanazy Kircher opisał „podróż po niebie", kreśląc fantastyczne rysy roztaczających się przed nim krajobrazów. Z tego rodzaju fantastycznych utworów największy wszakże rozgłos zyskały Fontenelle'a „Rozmowy o wielości światów", wydane przed dwustu laty, które długo znajdowały chętnych czytelników.

„Do czegożby — pyta się Bode w początkach zeszłego stulecia — służyć miały wszystkie te nocne blaski, gdyby istoty rozumne korzyści z nich nie wyciągnęły?" Wyznawcy takiego pojmowana natury nie chcieli nawet przypuszczać, ażeby jakakolwiek bryła niebieska odłogiem leżała, bezludna, martwa i pusta Fischer w swych rozważaniach nad kometami (1787 roku) sądzi, że i te nawet wiotkie utwory w pewnych warunkach mogą być odpowiedniem dla ludzi siedliskiem. Nie pomi-

nięto i słońca, mogą być bowiem istoty duchowe, ogniste, które w płomieniach słonecznych poruszać się i żyć mogą, jak my w atmosferze naszej.

Rojenia takie były łatwe, dopóki o budowie i składzie chemicznym światów nic jeszcze nie wiedziano; można je było wszystkie obdarzać życiem, na wszystkie mieścić istoty rozumne; można było przypuszczać istnienie tworów, tu obywających się bez powietrza, owdzie znowu znoszących dobrze żar płomienny. Teraz wszakże nowe metody badań przekonały dowodnie, że wszechświat cały w najdalszych nawet, przyrządom naszym dostępnych jeszcze obszarów, z jednakich zbudowany jest materyałów, że wszystkie bryły niebieskie jednakim ulegają prawom i w dziejach swego rozwoju jednakie przechodzą przeobrażenia, a według tej analogii z pewną słusznością przyjąć wolno, że i na innych bryłach niebieskich życie w podobnych mniej więcej, tylko niezbyt między sobą odrębnych, okolicznościach występować może.

I na własnej naszej ziemi widzimy zresztą, że życie rozwija się tylko w pewnych, ograniczonych warunkach, które ścieśniają się tem bardziej, im wyższych form życie to osięga. Gdyby powierzchnia globu naszego znacznym ulegała przeobrażeniom, gdyby została zalana wodą lub pozbawioną atmosfery, gdyby temperatura jej opadła do stanu okolic podbiegunowych, życie wygasłoby na niej zupełnie, albo przynajmniej obniżyło się w stopniu swego rozwoju. W taki więc sposób twierdzić nie możemy, by na każdej bryle planetarnej naszego układu słonecznego koniecznie życie wrzało, by wśród milionów słońc, po niebie rozrzuconych, każde promieniami swemi działalność życiową budziło.

Do podobnegoż wniosku prowadzą także i dzieje ziemi naszej. Jako planeta okrąża ona słońce już od długich milionów, a człowiek zamieszkuje ją prawdopodobnie od kilku, kilkunastu zaledwie tysięcy lat; cywilizacya zaś jego, której śladów w dziejach rodu ludzkiego dopatrzyć się możemy, datuje dopiero od pięciu lub sześciu tysięcy lat. Wyobraźmy sobie, że co dziesięć tysięcy lat zwiedza ziemię jakiś anioł, poszukujący na niej istot rozumem obdarzonych, to anioł taki tysiąc lub więcej razy przybywał na nią naprózno. Podobnego też, zapewne, doznalibyśmy rozczarowania, gdybyśmy mogli przenosić się z jednej planety na drugą i z jednego układu słonecznego na inny. Wśród tysięcy światów na jednym ledwie zdołalibyśmy napotkać objawy życia, zwłaszcza życia umysłowego, bo i na ziemi przecież o wiele dawniej rozwinęło się życie roślinne i zwierzęce, aniżeli ukazał się człowiek. W ogólnej historyi bytu ziemi dzieje rodu ludzkiego krótki tylko ustęp stanowią, różne zaś bryły niebieskie pozostają niewątpliwie w rozmaitym stanie swego rozwoju, a gdy na jednej z nich życie zamiera i gaśnie, budzi się i rozwija może na innej.

Nie znaczy to, by ziemi wyjątkowe przypadało w całej przestrzeni świata stanowisko. Jeżeli bowiem zważymy, że słońca, we wszechświecie rozrzucone, na miliony i setki milionów liczyć wypada, to w obszarach tych, których granic ująć nie możemy, ilość planet zamieszkanych może być olbrzymia. Nie możemy twierdzić, jak to mniemali stronnicy idei celowości w przyrodzie i jak dziś wielu sądzi, by objawy życia inteligentnego ogólnem były prawidłem natury.

Jeżeli zaś o życiu na którejkolwiek bryle niebieskiej, na którejkolwiek planecie mówić możemy, to niewątpliwie z najlepszem uzasadnieniem tyczy się to Marsa; jak widzieliśmy bowiem, planeta ta warunkami fizycznymi bytu swego najbardziej do ziemi naszej się zbliża. Bajką jest tylko i niedorzecznością, byśmy mieszkańców Marsa poznać mogli, byśmy zdołali ich dostrzedz lub z nimi korespondencyą prowadzić. Jeżeli banialuki takie znajdować mogą wiarę, świadczy to tylko, że o potędze przyrządów astronomicznych, o powiększeniach, osiąganych przez lunety i teleskopy, ogół ma niejasne i przesadne pojęcia.

W powiększeniach, zyskiwanych za pomocą przyrządów optycznych, niepodobna przekraczać pewnej granicy, w miarę bowiem, jak wzrasta powiększenie, przez szkło oczne powodowane, słabnie też jasność obrazu, jak to się dzieje i z prostą latarnią czarnoksięską. Do tego przybywają jeszcze inne względy, nieuniknione, zwłaszcza wady soczewek, a to wszystko kładzie kres powiększającej mocy lunet.

Mówiono, że Herschel za pomocą swego wielkiego teleskopu otrzymywał powiększenia 6000-krotne, a wtedy księżyc widział tak, jakby się znajdował w odległości 65 tylko kilometrów. — W takim jednak razie, ocenia Newcomb, księżyc przedstawiał widok taki, jakby go Herschel rozpatrywał przez drobniutki otworek i przez bardzo grubą warstwę wody. Wątpić można, czy kiedykolwiek księżyc przez lunetę był tak dobrze i wyraźnie dostrzeżony, jakby go widziano okiem nieuzbrojonem z odległości 500 kilometrów. Mars w najkorzystniejszych warunkach, czyli przy najznaczniejszem zbliżeniu do ziemi, przypada w odległości 140 razy większej, aniżeli księżyc. Gdyby więc obserwowany był w powiększeniu tak znacznem, jak powyżej księżyc, widzianoby go tak, jakby się mieścił w oddaleniu 500×140, czyli 70.000 kilometrów, t. j. około 10.000 mil.

Jestto już więc tryumf potężny, że zdołano na powierzchni tej planety oznaczyć wyspy o rozległości mniejszej, niż Islandya, i kanały o szerokości, niedochodzącej stu kilometrów. Jakżeż stąd jednak daleko do gmachów o stylu greckim, do zabudowań fabrycznych, albo do odczytywania sygnałów i korespondowania z mieszkańcami Marsa. Nic nie usprawiedliwia złudzeń, iżbyśmy coś więcej na Marsie dostrzedz zdołali ponad ogólne ukształtowanie lądów. Z czasem zapewne otrzymamy dokładniejsze materyały do rozstrzygnięcia kwestyi lądów, mórz i kanałów Marsa, ale nie jego miast, domów i mieszkańców.

O zaludnieniu obcych światów mówić możemy ogólnikowo tylko. Co wszakże Flammarion prawi o ludziach planetarnych, o mieszkańcach Marsa, w wiecznej szczęśliwości pląsających w powietrzu i obywających się bez jadła, są to pomysły czczej tylko fantazyi.

Kazimierz Wróblewski.

Młodość Kornela Ujejskiego.

(1823—1843)

(Dokończenie).

SZKIC LITERACKI

Prawdopodobnie z r. 1841 pochodzi także wiersz „w imienniku Julii",[1]) gdzie znajdujemy myśl o śmierci, powtarzającą się nieraz później w poezyach Ujejskiego:

Prędzej, czy później, gdy legnę w mogile,
Garść ziemi rzucą i kamień położą,
I tambym ja wieczność policzył na chwilę,
Gdy grób mój ojaśni łza twojej pamięci
A duszy błądzącej ulżyłabyś w męce,
Jeżeli kiedy twe niewinne ręce
Za pokój dla niej do modłów się złożą.

[1]) Kwiaty bez woni 11—12.

Po raz pierwszy w strunę uczuć ogólnych Ujejski uderzył w wierszu p. t. „Ironia czasu".[1])

Jak tamte, utwór ten powstał w r. 1841. Ironią czasu jest niedola narodu, który kiedyś „zabijał z dumą pograniczne słupy, miał sławnych wodzów..." (nie wiadomo dlaczego Ujejski nazywa ich „złoczyńcami"), „był cichy" narodem „pokoju i wiary", a dziś „stuletni starzec", syn tego narodu:

[1]) Tamże 125—128.

Patrzy na zgliszcza swej dawnej zagrody i jak wajdelota Mickiewiczowski:

. . . rzewnem pieniem wiatrom rozpowiada
Swoich praojców zapomniane dzieje
I żali naród, co tak znikł za wczasu.
A przecież słońce tak świeci jak wprzódy,
Równym połyskiem do starca się śmieje,
Choć rozpacz jemu . . .
To ironia czasu.

Ale poeta nie umie utrzymać się w tym tonie ogólnym do końca. Następują dalej

wynurzenia osobiste, mające źródło swoje w „ironii czasu“, której jednakże autor nie zdołał, że tak powiem, związać organicznie i przyczynowo z wynurzeniami temi.

Z r. 1842 posiadamy nie wiele więcej utworów Ujejskiego. Są niemi: pięć pieśni p. t. „Mój drugi chrzest“ i wiersz p. n. „Walka życia“. Pierwszy z nich, znamionujący znaczne wyrobienie się formy, zwłaszcza w kierunku zapanowania nad wierszem stroficznym, którego Ujejski dotychczas prawie nie używał, ma układ dramatyczny. Poeta mówi o tem, że mu „trzeba szału, burzy, zapału, wielkich nadziei i wielkich strat“,[1]) a „zły głos“ odpowiada:

Snem to życie — śmiej się dziecię,
Tu czuć żywo — grzech,
Na twym grobie twój brat tobie
Rzuci szydny śmiech.

W pieśni drugiej poeta klęka przed Bogiem i prosi Go o pociechę, ale On nie chciał słyszeć. Powtarza się ten sam „zły głos“. Poeta pragnie „w pieśni ukołysać myśli wir“. Ale „to trudno — na sercu nudno i gorzko jakoś; przeklęta pieśń“. A „zły głos“ odzywa się znowu. Poeta rzuca się w objęcia kobiet i winem pragnie zagłuszyć ból serca — mimoto „zły głos“ nie milknie. Wreszcie śpiewa:

Braterskie koła, posępne czoła,
A w piersi rozpacz, zemsta, żal,
Na próżne skargi, zacięte wargi,
Lecz duch hartowny, twardy jak stal.
Bo co zamyśli, to czynem skreśli.
. . . .
A jeśli bacznie co działać zacznie,
To świat wywróci swą siłą lwią,
Więc dalej z bracią, cicho w ukryciu,
Krzep z nimi wiarę i trudy dziel,
A rzuć niepokój — bo w twojem życiu,
Jeszcze ci błyszczy prześwietny cel.
Teraz dopiero „zły głos“ zupełnie cichnie.

Pieśni powyższe nasuwają nam pewne pytania i uwagi. Przedewszystkiem dlaczego poeta dał im tytuł: „Mój drugi chrzest“? Odpowiemy na pytanie tem przypuszczeniem:

Galicya w owych czasach, któremi się tu zajmujemy, żyła życiem spiskowem, krzewiącem się nader bujnie. Spiski rozpoczęto zawiązywać[2]) bezpośrednio po r. 1831 po upadku rewolucyi listopadowej, a czwarty dziesiątek lat wieku XIX. był właśnie okresem działalności w Galicyi wschodniej Węglarstwa polskiego i tajnego stowarzyszenia „Przyjaciół ludu“, w którem jedną z najwybitniejszych postaci był Teofil Wiśniowski, stracony później wyrokiem sądu lwowskiego.

Wiadomo nam już, że Ujejski stał we Lwowie, dzięki stosunkom towarzyskim Erazmowstwa Ujejskich, blisko tego grona literatów, które grupowało się około Zakładu narodowego im. Ossolińskich. Wśród tego świata były osobistości, które w ruchu spiskowym brały udział czynny i skuteczny. Przypuszczam, że przez nich Kornel Ujejski został wtajemniczony w robotę spiskową i stąd „drugi chrzest“, i stąd

[1]) Zwiędłe liście str. 5—10.

[2]) St. Pepłowski: Życie za wolność. We Lwowie 1897. str. 1 i nast. Por. Franciszek Waligórski: Spiski i ruchy w Galicyi po r. 1831. Dziennik lwowski 1867. nr. 47. (28 maja) do 62 (16 czerwca). Tenże: Spiski i ruchy w Galicyi. Część II. R. 1846. Dziennik lwowski 1867. nr. 73. (2 lipca) do 174. (30 paźdz.)

wykrzykniki pochwalne na cześć „braterskiego koła“ i ta wskazówka:

Więc dalej z bracią, cicho w ukryciu
Krzep z nimi wiarę i trudy dziel,
A rzuć niepokój — bo w twojem życiu
Jeszcze ci błyszczy prześwietny cel.
Hej czas ucieka —
Co ciebie czeka.
W nagrodę trudów o tem nie śnij. —
Karta sławy
Lub pień krwawy,
Sen ostatni
I żal bratni
Lub pielgrzymi kij.

Ostatnie słowa są szczerym i słusznym wyrazem, pięknem i trafnem określeniem tych uczuć, jakie żywił wówczas w Galicyi każdy, kto się zabierał do jakiejkolwiek pracy, mającej na oku dobro ogólne.

Wiersz p. t. „Walka życia“[1]) jest obrazem tych walk, jakie toczyły się w duszy dziewiętnastoletniego poety na myśl o zadaniach, czekających nań w życiu, jest zarazem dowodem jego dążenia do równowagi moralnej przez zastanawianie się nad potrzebą służby społeczeństwu. Gdyby grupować wiersze Ujejskiego pod względem treści, to wiersz ten należałoby zaliczyć do utworów w pewnej mierze filozoficznych, a zarazem trzeba tu uwydatnić charakter wprost katechizmowego rachunku ze samym sobą, do którego Ujejski był zawsze bardzo skłonny.

Wykaz wierszy Ujejskiego z r. 1843 jest wiele obfitszy. Z tego roku pochodzą utwory: „Piosenka do snu“, „Pieśń o ziarnie“, „Podróż z mego okna“ i wiersz „Do mistrza“.

Wspominaliśmy, że Ujejski krocząc śladem romantyków, wyznaczał w poezyach swoich miejsce nader zaszczytne miłości, która była zasadniczym motywem jego utworów najwcześniejszych. Wiemy także, że, chcąc życie zespolić z poezyą kochał się i dość często zmieniał przedmiot swych uczuć. Melancholijna natura poety, nielubiącego żartu, ni igraszki, biorącego wszystko bardziej seryo, niżby należało, upatrywała w miłości środek do ożenienia się wtedy, kiedy może pora nie była jeszcze stosowna i kiedy rodzina nie byłaby mu zapewne pozwoliła na żaden związek. Młodzieniec ledwie dwudziestoletni wziął już na siebie bardzo daleko idące zobowiązania wobec ukochanej i do tej swojej „przyszłej żony“ przemawiał z wielką powagą:

Śpij moje dziecię — matko mych dzieci;
Do mojej piersi przyłóż swą skroń![2])

i kazał jej wierzyć, iż jego pierś to „tarcza“

Ona wystarcza
Ci do uścisku.
. . . .
To twa rodzina i to twój świat.

Stosunek z tą przyszłą tak przesadnie, miejscami nawet niezgrabnie przedstawimy, nie utrzymał się, a poznanie się z osobą, z którą poeta stanął na ślubnym kobiercu, nastąpiło wiele później, wiersz zaś powyższy został jedną więcej pamiątką tych czasów, w których Kornel Ujejski był śpiewakiem uczuć wyłącznie osobistych.

[1]) Kwiaty bez woni str. 13—14.

[2]) Kwiaty bez woni str. 17—19. „Piosnka do snu“.

Atoli struna uczuć ogólniejszych, której dźwięk słabiuchny mieliśmy już sposobność usłyszeć, poczyna w jego lutni odzywać się coraz to wyraźniej i donośniej.

W „Pieśni o ziarnie“[1]) spotykamy się z gorącem przywiązaniem poety do ludu. Wydaje się, gdy się ten wiersz czyta, jak gdyby poecie stanął przed oczyma ów obraz pamiętny rozstania się z gromadą w Świerczkowie, jakgdyby przypomniał mu się ów stosunek serdeczny, który łączył przodków jego, Ujejskich, z włościanami, i wtedy zamarzył o własnym kawale ziemi, któryby mógł wespół z ludem uprawiać:

Bogdajto w siole na własnym zagonie
Ukochać lud nasz chęciami młodości,
Odkrywać perły skryte w jego łonie
Z znoju mu ścierać podeptane skronie,
A karmić ziarnem wiary i miłości.

„Podróż z mego okna“[2]) jest żywym obrazem nowego stanu rozdrażnienia, w jakiem społeczeństwo polskie żyło w Galicyi. Północ — poecie ucieka sen z powiek a myśl w dal, lecąca w dal, opiera się o „przyległy klasztor“, może Karmelitów we Lwowie, gdzie więzienia się mieściły, w którym

. . . . cela koło celi,
A w celach dzban mętów, spleśniały kęs chleba,
I związka zgnilizny na miejscu pościeli. —
U okien zasłona, co kradnie blask nieba.
Tam cisza i ciemnia. — Niekiedy dłoń skuta
Zabrzęknie, i oczy zabłysną do świecy.
Po nocach tam słychać świst knuta;
Na Boga! któż oni? — jacy pokutnicy?
I jakiż to patron, jak szatan nieczuły,
Mógł zakon utworzyć tak ostrej reguły!
W podziemiu stół długi, dwóch siedzi za stołem,
Z tych jeden coś pisze, a drugi coś pyta,
Przed niemi ktoś blady dumnem toczy czołem.
I milczy i zębem za język swój chwyta,
Dwaj czarni za stołem coś szepcą i radzą
I wyrok wydali.

Ustęp napisany został pod wrażeniem tych mnogich uwięzień, które wówczas były na porządku dziennym. Pamiętajmy, że od r. 1883 do 1842 przeszło czterysta osób zapełniało z powodów politycznych więzienia galicyjskie,[3]) właściwie zaś mówiąc, cały kraj był jakoby w więzieniu, tak wszystkich trapił nadzór policyjny, wykonywany z pedanteryą i ścisłością, przez ludzi usposobionych dla społeczeństwa wrogo i nie związanych z niem żadnym węzłem serdecznym.

W dalszym ciągu wiersz, o którym mowa, staje się satyrycznym. Myśl poety przedziera się do sali balowej

. . . . taniec, jak fala
Płynie, wiruje, toczy, kołuje,
Gwar i połyski, śmiech i uściski.
Dziewczęta z wieńcem pływają w parze,
Ognia rumieńcem błyszczą ich twarze,
A młódź z kielichem, coś głosem cichym
Szepce do ucha i okiem tonie
W fałdy sukienki; —
A dziewczę płonie, — stoi i słucha
I odpowiada ściśnieniem ręki.
Hej szczęścia tyle na dnie kielicha,
Niech czarne chwile spełzną do licha,

[1]) Zwiędłe liście str. 13—15.

[2]) Zwiędłe liście 16—22.

[3]) Karol Widman: Franciszek Smolka. Lwów 1886. str. 83.

Muzyka głuszy wyrzuty duszy,
Jadem w nich pełza, wino, co kiełza
Dawne poloty, wiary i cnoty.
I dalej, dalej, we złotej fali
Z zawrotem głowy, z chyżością ptaka,
Płyną, wirują, toczą, kołują,
A jaka czczość w słowie, to w piersi próżń [taka.

W kołach, w których Kornel Ujejski się obracał, krytykowano ostro tę „czczość w słowie“ i „w piersi próżń,“ która poecie wyrywa z duszy gromkie słowa oburzenia. W tym samym roku 1843 Leszek Dunin Borkowski wydał bezimienie książkę p. n. „Parafiańszczyzna“, gdzie schłostał ciasnotę pojęć i pustkę życia pewnej części szlachty galicyjskiej, dorabiającej się wówczas na gruncie austryackim tytułów, i pozującej na arystokracyę, a zarazem wytknął jej brak zajęcia się interesami, dążeniami i nadziejami ogółu. Zapewne do tych samych sfer Ujejski kierował słowa swoje.

Śledząc rozwój talentu Kornela Ujejskiego nie możemy pominąć wiersza p. t. „Do mistrza“[1]) zarówno ze względu na jego treść, jak i formę. Ta ostatnia dowodzi wielkiego postępu w opanowaniu wiersza stroficznego. Ujejski używa tu trudnej zwrotki dwunastowierszowej z rymem: a, b, a, b, c, d, c, d, e, f, e, f, — tak szczęśliwie, że wiersz ten można postawić obok piękniejszych jego utworów z lat późniejszych.

[2]) Zwiędłe liście str. 11 i 12.

Mistrzem, do krórego wiersz ten został napisany, jest najniezawodniej jeden z najznakomitszych — nie wchodzę w to który, bo rzecz ta nie do rozstrzygnięcia — poetów naszych owego czasu.

Ujejski wypowiada tu przekonania swoje o zadaniach i znaczeniu poezyi narodowej. Mówi najpierw o losach współbraci:

Tym szczęście wśród życia, jak zorza przyświeca,
Tych gnębi niewola i nędza,
A innym ból bratni w rozpacz się roznieca,
I wiarę im w przyszłość rozpędza.

Zwracając się zaś do mistrza — poety woła w uniesieniu:

Ty krzepisz — ty równasz nas z sobą, jak [dzieci,
I wszystkich nas bratnisz w uczuciu,
Iż jedni nie pomną, że szczęście im świeci,
A drudzy, że chodzą w okuciu.
I wszyscy zestrzelą się w jednem ognisku,
W zachwycie zapomną o sobie,
I dłoń się im wspólnie wyrwie do uścisku.
. . . .

Ty wznosisz nas mistrzu i zmieniasz w olbrzymy
I ster nam podajesz wśród burzy,
I hartu nadajesz, że skałą stoimy,
Choć niebo o jutrze źle wróży.
A serce do czynu tak tętni nam w łonie,
Jak anioł — wskrzesiciel po grobie.
Weselej, promienniej i czyściej myśl płonie —
Cześć Tobie!

Poezya narodowa ma zatem być pobudką do czynu, ma krzepić wątpiących, umacniać wierzących, ma przemieniać karłów w olbrzymy.

Drobny ten utwór tyle, zdaniem naszem, waży w rozwoju talentu Ujejskiego, że, jeżeli współcześni z pewnem niedowierzaniem mogli patrzeć na poprzednie jego próby, to teraz nie mogli nie zawołać: Poeta natus est.



HENRYK ZBIERZCHOWSKI.

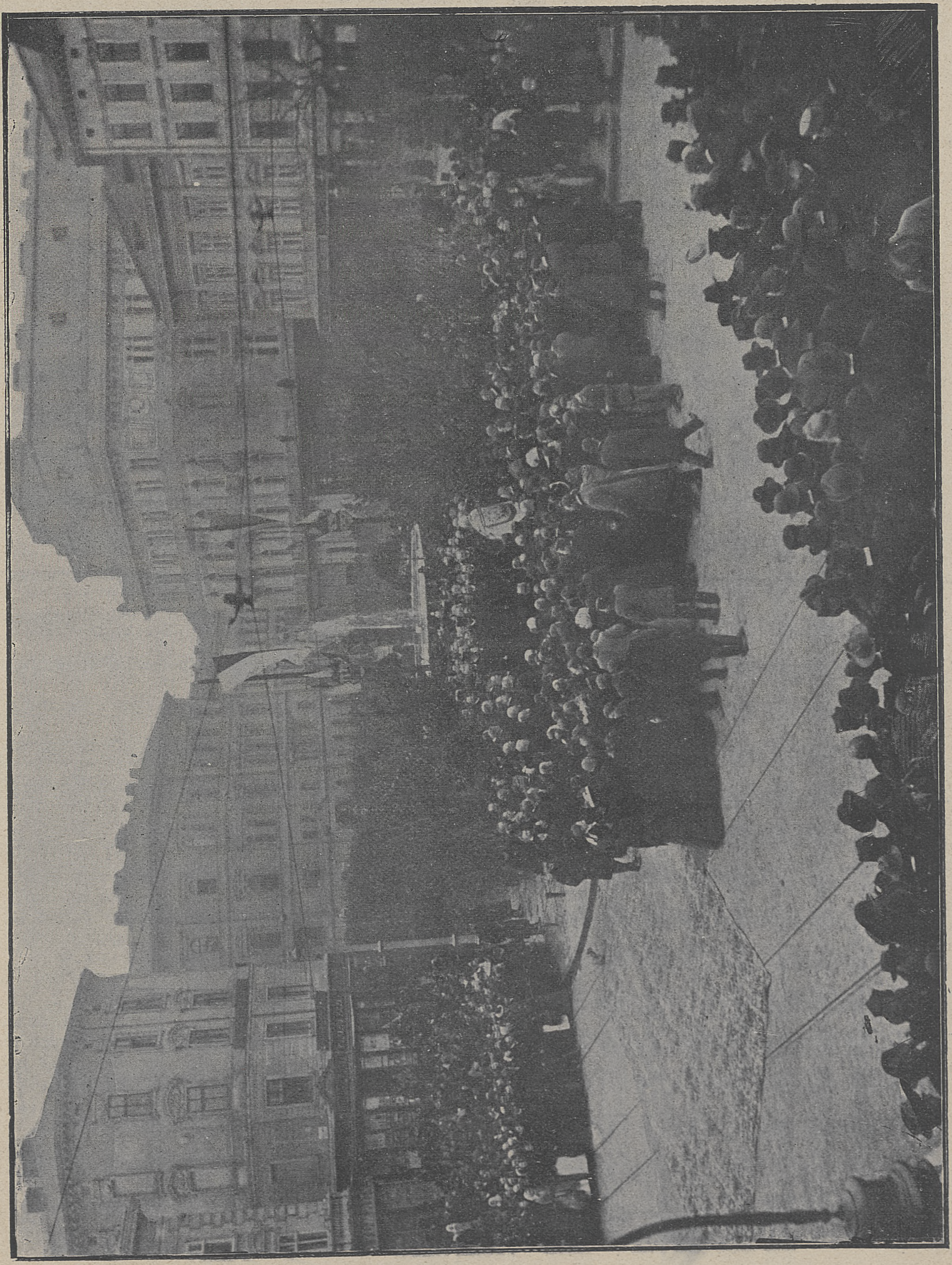
UROCZYSKO.

Na dnie odmętu
Wśród wiklin i trzcin roztoczy
Wplątane w mgły podwodne,
Spadłe z firmamentu
Lśnią się gwiazd oczy
Pogodne...
Zielona poświata miesiąca
O wód tafle trąca
I welon biały
Srebrzysty na liściach zwiesza.
— Cicho... Zaraz liście będą spadały.

Hen z sinej dali
Idzie już idzie wieczna tułacznica,
Ugorów rozpaczna cisza...
Ślizga się po srebrnej fali,
Oblanej strugą księżyca,
Pień dębu objęła zmurszały...
Po trawach depce.
A teraz w liściach wierzb coś szumi i szepce,
— Cicho... Zaraz liście będą spadały.

Od mgieł, co jak białe płótno zwiesza,
Tajemnie się tworzą jeziora i stawy
Na łąkach .. Na wierzchołkach borów,
Opustoszałych ugorów
Rozpaczna cisza
Kołysze drzewa i trawy,
Wśród trzcin pełza po cichu,
Aż w końcu w lilii kielichu
Cała się kładnie...
Pod ciężarem
Przegina się w wodę kielich biały
I lilia, zwiesiwszy pierś, kona,
Otruta moczarem,
Patrząc w gwiazdy na dnie...
— Cicho... Zaraz liście będą spadały.





Uroczystość otwarcia wodociągu we Lwowie dnia 9. b. m.

WZGARDZONE CNOTY.

Gdy sięgniemy myślą w karty przeszłości, widzimy takie postacie jak Chrzanowska, Żółkiewska i inne, które przy ciszy życia domowego umiały i w sprawach wielkich a bohaterskich głos zabrać, a nawet i czynem pospieszyć z pomocą.

Zapewne nikt kobiet takich nie mógł nazwać emancypantkami, ani nie podnosił wrzawy, iż dzielne bohaterki chcą burzyć życie rodzinne.

Czytając dalej w dziejach, napotykamy kobiety z rodzin możnych, wielkie znaczenie mających, które przędą na kołowrotkach, tkają, haftują, kościoły przyozdabiają pracą rąk swoich, a choć czasem i czytać nie umieją, nie powie nikt o nich, aby były ciemne, ograniczone, bezmyślne i nie zasługiwały na szacunek. Owszem były to kobiety pełne cnót, więc też i życie w około nich toczące się miało jasność słoneczną i wyrabiało charaktery potężne męstwem, stałością i wiarą.

Przemknęły lata szybko. Wytworzył się i w świecie kobiet nowy duch. Jedna fala pań wielkoświatowych rzuciła jak skorupę ślimaczą stare obyczaje, wzięła cudzoziemczyznę w ubiorze, w mowie, zwyczaju i — niecnocie. Druga fala szlachcianek uboższych pozostała w ciszy zagród wiejskich, modliła się po staremu, pracowała po dawnemu. I nikt nie mógł rzec, że były to matki i żony, córki i siostry zacofane, ciemne, że wisiały kamieniami u ramion mężczyzn, że chciały tylko pić słodycz życia, a trudów jego nie umiały ponieść.

Aż wreszcie przyszedł czas nowych haseł. Dziwnie zmieniło się życie w około. Majątki ziemskie rozdrobiły się, rozsypały, zabrakło dla wielu ludzi i chleba i dachu. Wytworzył się odrębny świat „klasy średniej“, „urzędniczej“, gdzie powstało życie prawdziwe zupełnie odmienne od tego, jakie dawniej było. Samo życie w miastach zatarło nawet wspomnienia o cnotach owych, które snuły się z srebrnych kądzieli cnót prababek naszych. Patryarchalne stosunki pań do służby, do chat, to już tylko wspomnienia, a oszczędność, pracowitość, zapasy spiżarniane, stare mebelki, mieszkania bielone, ubiory według możności, to wszystko chyba jeszcze gdzieś w powieściach, nader nudnych, jak u Korzeniowskiego lub Kraszewskiego.

Trzeba żyć „z grosza“, jak się u nas mówi, a to orzech bardzo trudny do zgryzienia. I w ślad za tem życiem, przyszły niedobory, a potem „bieda“. Zaglądnęła bieda tu i tam, tak samo do mieszkań na pierwszem piętrze jak i na trzeciem, w oficynach lub na przedmieściu. Ożenił się jeden, drugi i dziesiąty, a niedostawszy posagu, ani nawet dobrej wyprawy, przekonał się, że jest źle. Inni, ostrzejsi, wyrzekli się myśli o zakładaniu domstw własnych, bo w obecnych warunkach było to za trudną sprawą.

A gdy po latach 10—15 została wielka liczba panien niezamężnych, nie należycie przygotowanych do życia samodzielnego, dopiero rzucono się do myśli przygotowywania córek w ten sposób do życia, ażeby mogły w danym razie mieć jakieś utrzymanie.

Oto był początek ruchu dzisiejszego.

Należy i na to zwrócić uwagę, iż istotnie, dla kobiet pozbawionych życia rodzinnego, zabrakło w teraźniejszym świecie miejsca i kąta. Gdy dawniej po dworach zamożnych i poczciwie żyjących, miało zawsze przytułek kilka, kilkanaście albo i więcej panien hafciarek lub szwaczek, ochmistrzyń lub inne zajęcie mających, teraz schronienienie takie zanikło. Dwory zubożały, inne sprowadziły francuski i niemki, tam żydzi rozsiedli się wspaniale, a maszyny do szycia i haftu, wydarły zarobek wielu kobietom. Trudna rada; gdy nie ma się tej pewności, czyli córka za mąż wyjdzie, musi się ją ubezpieczyć od tego, aby nie została bez jakiegokolwiek zarobku. Wszak jest w tem racya zupełna.

Ale, po za przyznaniem słuszności tej sprawie, musi być wysunięte pytanie nader ważne:

Dlaczego więcej z nas widzi przed życiem kobiety jej samotność i pracę dla siebie, niż życie jej wsród rodziny i pracę dla drugich?... Oto dlatego, iż dziś kobiety mają mniej cnót, a więcej wad, więc nie umieją stwarzać życia rodzinnego tak szlachetnie rozwiniętego, ażeby umiało ono przetrwać i przewalczyć wszelkie trudności, niepomyślne warunki pokonać i — stworzyć świat szczęścia cichego, kwiatem cnót błyszczącego.

Oto dlatego, iż dziś cnoty prawdziwe wypływające z zasad etyki chrześciańskiej, zostały wzgardzone, wyśmiane i odtrącone, a nowych, lepszych i jaśniejszych nie umiano ani wyszukać, ani zaszczepić. Mało dziś kobiet wychodzi za mąż, bo szczerze i otwarcie powiedziawszy, mężczyźni boją się żon teraźniejszych. Za wiele mają wymagań, za wiele pretensyi, za wiele żądają wydatków, a za mało przynoszą dobroci, pracowitości i — ciszy.

Jeśli istotnie sprawa kobiet leży rodzicom i wychowawcom na sercu szczerze, to niech nie biorą w pierwszej linii szukania dla córek posad i miejsc dobrych, lecz niech naginają ich ducha i serce do zdobycia cnót najpotrzebniejszych do szczęścia rodzinnego.

Emancypatki dzisiejsze, nawołując do szukania prac zawodowych i zarobkowych, powiadają: „Niech kobiety pomogą dźwigać trud życia, bo inaczej, uwieszone jak kamienie u ramion ojców i mężów, razem z nimi utoną“.

My odważamy się rzec inaczej. Niech kobiety nasze nauczą się zmniejszyć wymagania i ścieśnić potrzeby życia nad możność, niech z świata mody, strojow, próżniactwa i pychy, wrócą do cichych cnót poświęcenia się, ubóstwa, oszczędności, pracy domowej, wychowawczej, a nie będą kamieniami u ramion mężów, lecz skrzydłami.

Wzgardziliście, młodzi ludzie, cnotami staremi, a nie wiecie, iż dlatego wam źle... Szukacie tysiąca dróg nowych, a nie wiecie, iż jednej przedewszystkiem potrzeba.

Dziś, ubogo ubrana panienka, wytykana byłaby palcami i wyśmiewana powszechnie, bo czyżto możebne pokazać się w sukience najskromniej uszytej, a nie mieć ozdób przy niej bez liku?

Dziś panienka, któraby po ukończeniu szkół stanęła przy kuchni i uczyła się smacznie, zdrowo i nie drogo obiady gotować, ogłoszoną by była za „zacofaną“ i niedość rozwiniętą umysłowo. Jakto? Obejść się bez kucharki? Mam wyjść za mąż i mozolić się w kuchni, wolę zostać panną, pracować sama na siebie i uwolnić się od wielu trudów.

Tak powiadają powszechnie.

Tak ma się poprawiać los kobiet, które nie wychodzą za mąż, bo nie chcą przyjmować trudów i prac dla kobiet najświętszych i dla ogółu najzbawienniejszych, ale szukają tego, co lżejsze, co da płacę „na pierwszego“ i ciszę samolubnego płaza.

Tak na powinności życia patrzą dzisiejsze kobiety i tak gardzą cnotami, które przed wielu laty lśniły jak brylanty, a dziś są już tylko tematem do obśmiewania.



Pogadanka naukowa.

MOWA MAŁP.

Już w dawniejszych czasach panowało ogólnie przeświadczenie, iż zwierzęta posiadają coś w rodzaju mowy; sądzono, iż poznanie jej nie jest wcale niemożliwem, toteż badaniu jej poświęcali się zwykle najwybitniejsi i naiwybrańsi, a głównie samotnicy, którzy z miłością się ku przyrodzie zwracając, starali się dojść jej tajemnic.

Materyaliści wieku XVIII. często zastanawiali się nad możliwością wyuczenia zwierząt mowy ludzkiej. De la Mettrie powiada też bardzo naiwnie w swem dziele „L'homme machine“: „Dlaczego nie miałaby małpa, gdyby należycie się tą kwestyą zajęto, podobnie jak głuchoniemi, dojść do możliwości wydawania z siebie tonów, podobnych do ludzkich?“

O właściwej mowie zwierząt rozprawiano wiele, a jednak nie osiągnęło jej poznanie wydatniejszych rezultatów. Toteż wielką zasługę ponosi amerykanin R. L. Garner, ogłaszając książkę, opracowaną metodycznie, na podstawie ostatnich wyników nauk przyrodzonych, a ponadto zawierającą bezmiara nowych i wartościowych faktów na tem polu.

W najogólniejszem znaczeniu zowiemy mową wszelkie ruchy, zapomocą których zaznajamia się inną istotę o zmianach zaszłych w usposobieniu pierwszej: psy, koty i inne zwierzęta wyrażają to, co ich zajmuje, zapomocą ruchów ogona, uszu, skóry, słoń zapomocą trąby, wiele osób zapomocą ruchów rąk, twarzy i oczu. Że zwierzęta taką mowę posiadają, temu nikt nie przeczy, że jednak zwierzęta posiadają własną mowę, złożoną z głosowych przejawów, przeznaczoną do porozumiewania się między sobą, a nawet z istotami innego gatunku, nie wszyscy chcą przyznać.

Zainteresowanie budzi zwłaszcza mowa małp, gdyż niema obecnie żadnego przyrodnika, a nawet przeciętnie inteligentnego człowieka, któryby nie wiedział, iż człowiek pochodzi od małpy, i że wskutek ciągłej ewolucyi obawiać się należy wytępienia niżej stojących pod względem kulturalnym gatunków ludzi, tak samo jak ci swe istnienie oparli na wzniesienie się o szczebel rozwoju wyżej niż małpy.

Garner zwrócił swą uwagę na ten zajmujący temat z chwilą, kiedy w latach ośmdziesiątych w ogrodzie zoologicznym w Cincinnati, przypatrywał się grupie małych małp, zamieszczonych w klatce, a przedzielonych tylko drutami od drugiej, w której znajdowała się innego rodzaju małpa wielka. Małpki obserwowały uważnie wielkiego swego towarzysza i udzielały sobie o tem wiadomości, tak, iż Garner mógł z najrozmaitszych przez nie wydawanych tonów dojść, czy wielka małpa śpi, czy je itd., mimo, że jej nie widział.

Sprawiwszy sobie fonograf, rozdzielił w dwie klatki parę małp, odfonografował kilka przejawów głosowych samicy, które następnie zaprodukował przed samcem; ten zewnętrznymi ruchami dał poznać, iż tony te zna, szukał zdumiały niewidzialnej swej towarzyszki, a wreszcie zbliżył się do fonografu i wetknął rękę w tubę, szukając tam swej towarzyszki.

Zachęcony tem powodzeniem, odfonografował Garner większą ilość rozmaitych głosów małpich, poddał je studyom, tak, iż w końcu nauczył się je naśladować, przy czem wielce mu była pomocną zdolność bezsprzeczna do imitowania głosu zwierząt.

Wówczas rozpoczął badania, które z pewnością obecnym dziwnemi wydać się musiały. Np. za pomocą głosu, który miał oznaczać coś „przyjemnego i godnego pożądania“, zwabił w swe pobliże małpkę, a kiedy ta jadła z nadstawionej ręki wydał głos, oznaczający „napad, alarm“ — a natychmiast z wielkiem przerażeniem odskakiwała małpa, kryjąc się w najgłębszy kąt pokoju.

Wedle zdania Garnera, wielu czynnościom małp towarzyszą pewne głosy, a prawie każde wydanie głosu oznacza pewną czynność nie tylko ze względu na tę małpę, ale i na wszystkie inne.

Pod wyrazem „mowa“ należy tu rozumieć poszczególne głosy, odpowiadające całym szeregom pojęć ludzkich. W każdym razie jednak wyraz „małpa“ jest tu odróżniony od wyrazu „inny zwierz“, lub „owoc“ od „jadła w ogóle“. Głos „małpa“, podobny do cichego łagodnego powitania — wydają zwłaszcza wówczas z siebie, kiedy długo były wyodrębnione, a potem nagle zobaczą albo drugą małpę, albo swój obraz w zwierciedle.

Osobny głos wyraża „nie“, a towarzyszy mu jak u większości ras ludzkich, pochylenie głowy na bok. Głos podobny do „ı—sz—g—k“ wyraża zdziwienie, obawę, ostrzeżenie, niezwykły wypadek, a szeptem wypowiadane „c—h—i“ zbliżenie się istoty lub rzeczy wcale nie niebezpiecznej.

Mowa małp ma według zdania Garnera podkład myślowy. Zwraca się zawsze do poszczególnych indywiduów i z wyraźną chęcią objawienia swej woli, swego zamiaru. Małpy czynią przestanek po powiedzeniu, oczekując odpowiedzi; gdy jej nie otrzymują, powtarzają wydanie głosu i wpatrują w indywidyum, do którego mówią. Nigdy nie wydają tych głosów, gdy są same, albo czemś innem zajęte, tylko wówczas, gdy obecnym jest ktoś, człowiek czy małpa, kto je może usłyszeć.

Każdy gatunek ma swą, specyalną mowę, która jest w najrozmaitszych kierunkach zabarwioną dyalektami. Jej charakter fonetyczny znajduje się na tym stopniu rozwoju, co u dzieci w jednakiej sferze rozwoju umysłowego i podlega podobnym przepisom co do przyrostu, zmiany i ubytku, jak mowa ludzka. Im bardziej małpy żyją życiem towarzyskiem i im więcej się ich społeczne popędy rozwinęły, tem bardziej skomplikowaną jest ich mowa.

W ten sposób zapomocą fonograficznych badań — tu właśnie przejawia się nadzwyczajna wartość nowych metod — zrobiono wiele obiecujący początek pracy, mającej na celu akustyczną transkrypcyę mowy zwierzęcej.

Wiele spodziewać się należy po badaniu głosów zwierzęcych, jak psów, kotów i ptaków. Nawet mniej inteligentne zwierzęta, jak woły, owce, porozumiewają się, acz w bardzo małym zakresie, między sobą, a kto zna życie wiejskie, ten nie zdziwi się wobec twierdzenia, iż zwierzęta domowe posiadają mowę.

Z psami Garner odbył takie doświadczenie: głosy młodego pieska, domagającego się jadła lub szczekającego przed lustrem, doniesiono fonograficznie jego matce. Ta poznawała je, odpowiadała i wielce się zdumiała tem, iż mimo poszukiwań swego syna w pokoju nie znachodziła. Zaś wobec fonograficznego szczekania innych psów zachowywała się zupełnie obojętnie, z wyjątkiem, iż przyjmowała je z wielce niezadowoloną i groźną miną.

Garner jest wyśmienitym obserwatorem, pomysłowym i cierpliwym badaczem, ale jak zwykle badacz przyrody bardzo wielkim optymistą co do znaczenia swych badań w metafizyce, filozofii przyrody i religii. Mimo to jednak zaprzeczyć mu nie można ogromnej zasługi, polegającej głównie na skutecznej inicyatywie na tem jego trudnem polu działania. Wszystkie te przesadzone spekulacye filozoficzne można śmiało pominąć, tego jednak ominąć nie można, iż z pewnością kiedyś posiadać będziemy naukę zajmującą się mową zwierzęcą, i że wraz z nią znikną coraz bardziej rzekome różnice między inteligencyą ludzką, a innych zwierząt, w których żyłach krąży krew czerwona.

Dawniej tak często omawiane pytanie, kto wynalazł mowę, stało się bezsensowem. Problemat początku mowy jako aktu nadprzyrodzonego należy do szeregu tych zaśniedziałych kwestyi, które nowsza nauka w ten sposób rozwiązuje, iż wcale ich bytu nie uznaje. Przepaści nie ma między ludzką mową, a brakiem mowy u zwierząt. A o pomost jaki między obома daje się wybudować, chodzi właśnie tej powyżej rozstrząsanej, obecnie jeszcze wcale nie rozwiniętej nauce o mowie zwierząt.

Bertold Menkes.

PANI SOLSKA.

Mam pisać o dziwnej indywidualności artystycznej. Dziwnej — bo odskakującej zupełnie od szablonowego pojęcia gry aktorskiej, bo tak w swej odrębności skomplikowanej, iż trudnem jest doprawdy wytyczenie charakterystycznych pierwiastków, z których się ta dziwna indywidualność składa. Bo pani Solska nie jest ani aktorką „tragiczną", ani „salonową", ani „naiwną", ani wogóle żadną wedle pewnych kategoryi dramatycznych się ucieleśniającą „bohaterką sceniczną", przywdziewającą tę swą charakterystykę sceniczną na kilka godzin wraz z szminką i tualetą — jest osobą o niezwykle obszernym zakresie pojęć, nadzwyczajnej subtelności uczuć, zdolną dać tym pojęciom wielce do prawdy zbliżony wyraz. Stąd to pochodzi, iż pani Solska zawsze jest jednaką (niektórzy poczytują to za wadę), zawsze „panią Solską", wierną interpretatorką myśli autora. I to jest jedną z najwybitniejszych cech jej indywidualności. Pani Solska umie wmyśleć się w intencye autora, myślą swą dojść najtajniejszych zamiarów twórcy dramatycznego. „Praca twórcza dokonywa się dwoma różnymi sposobami, z których każdy istnieć może osobno, lub też jeden następuje po drugim. Pierwszy sposób jest instynktowy, rzutowy, natchniony; drugi nakazany wolą, rozmyślny, wypracowany".*)

Pani Solska należy do drugiego rodzaju. Każde słowo, zanim zostało przez nią wypowiedzianem, przechodzi przez kryteryum mózgu, tam jego treść, wartość, siła zostaje odważoną. Jako taka, myśląca i to poważnie myśląca artystka różni się też wielce od większości aktorek, u których zdolność jest właśnie instynktową, zupełnie od myśli nie zawisłą, wprost odczułą i z serca płynącą.

Dalszą konsekwencyą tej głównej cechy indywidualności pani Solskiej jest zupełnie odmienny, niż zwykle sposób wymawiania wyrazów.

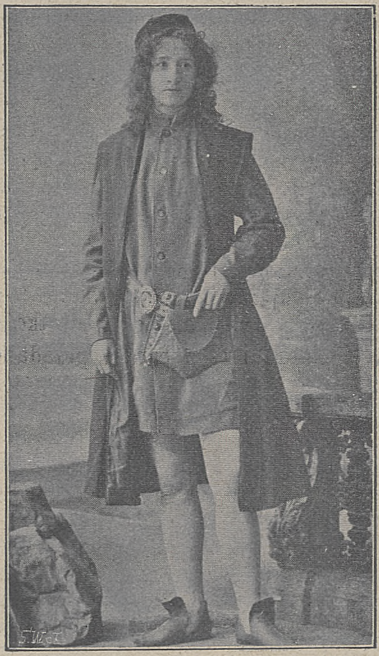
Bo pani Solska nie deklamuje, nie recytuje, nie nadaje słowu tego zewnętrznego, koloraturowego blasku; niemal że głosem monotonnym, jednostajnym, wypowiada słowo po słowie, to prędzej to powolniej, to głośniej to ciszej, to z naciskiem, to bez niego, zależnie od tego, czy wartość wewnętrzna słowa tego wymaga, czy na słowie tem, jako na uzewnętrznieniu myśli autora, spoczywa większa waga, większa ilość treści, czy jest tylko węzłem słownym, łączącym ważniejsze objawy myśli. Powiedzą niektórzy: cóż kiedy taki sposób mówienia, zwłaszcza na scenie wrażenia nie wywiera... Przepraszam: wrażenie jest o wiele większe, aniżeli kiedy aktor lub aktorka z sztucznym patosem bez zastanowienia i bez oddania wewnętrznego znaczenia każdego wyrazu całą strugą słów się popisze. Na galeryę to działa, w sztukach koturnowych to popłaca, ale w tworach dramatycznych głębszych — nie. Tam nie chcąc krzywdzić autora, trzeba wyrazom przezeń użytym starać się oddać ich wartość wewnętrzną, ich treść. I ta zdolność w wysokim stopniu jest udziałem pani Solskiej.

Zdawaćby się mogło, iż przez takie, myślową pracą podyktowane uzewnętrznienie słowa dramatycznego, zatraci się część piękna, tego zmysłowego czaru, jakie słowo posiada. Nieprawda, bo piękno się dopiero przez to potęguje, bo — jak powiada Maryo Pilo — słowo działa przez właściwe mu „wewnętrzne piękno" przez barwę i ciepło, ruch i siłę, budzi uśpione wrażenia, wlewa w naszą krew, w nasze nerwy nowe dreszcze...

Takie to jest działanie słowa, wypowiadanego przez panią Solskę. Jest ono obmyślanem a pięknem, a zarazem mimo prostoty i spokoju, w jakiem się przejawia, do głębi wstrząsającem.. (Dla przykładu przypominam epizodyczną, nieledwie kilka chwil na scenie bawiącą postać z „Tragedyi dusz" Bracci, tak mistrzowsko ucieleśnioną przez panią Solskę, iż mimo małej wagi, jaką sam autor do niej przywiązuje, niezapomnianie utkwić musiała w pamięci każdego widza).



Pani Solska jako Joanna Grudzińska (Noc w Belwederze).



Pani Solska jako Nawojka.



Pani Solska jako Lizetta (Igraszki trafu i miłości).



Pani Solska jako Flora (Pan Geldhab).

A trzecią charakterystyczną cechą talentu pani Solskiej, jest zdolność stylizowania, utrzymania się konsekwentnie od początku do końca w pewnem, z góry obmyślanem, nie dopuszczającem żadnego „albo — albo" pojmowaniu danej postaci. Na tem polega właśnie jej oryginalność. Tak jak w literaturze wybitne jedynostki z przyrodzenia już posiadają pewien specyalny sposób wysławiania się, wybijający na ich utworach łatwo rozpoznalne piętno, taksamo i w grze pani Solskiej, przejawia się ta odrębna, samodzielna, nie dająca się z żadnem innem pojmowaniem tej samej przypuśćmy roli porównać, sztuka uplastycznienia danej postaci, utrzymania spójni między obrazem wewnętrznym jakiejś postaci a zewnętrznym. I to właśnie stanowi o artyzmie pani Solskiej. Jest więcej niż aktorką, jest artystką, bo samodzielną indywidualnością, umiejącą tchnąć w twórzone przez się postaci tę władzę magiczną i tajemniczą, będącą podstawą prawdziwego artyzmu — — —

*) Mario Pilo „Psychologia piękna i sztuki."

MUZYKA.

Agencya koncertowa Towarz. muzycznego jest w tym roku rzeczywiście bardziej ruchliwą, niż w latach poprzednich; dzięki temu sezon koncertowy urozmaicają oprócz dorocznych i zwyczajnych koncertów naszych towarzystw muzycznych, występy najsławniejszych artystów zagranicznych. Po Burmestrze, który pozostawił po sobie tyle przepotężnych wrażeń wystąpił dwa razy drugi światowy mistrz skrzypiec Cesar Thomson. W tym sezonie wozi on ze sobą dla urozmaicenia programu, śpiewaczkę p. Fuchs i pianistę p. Delune. Koncertant odegrał utwory H. Vieuxtempsa (koncert d-mol) Beethovena, Wieniawskiego, Tartiniego i Sarasategο. Zauważyliśmy, że wykonanie nie było równomierne, chwilami pozostawiało bardzo wiele do życzenia jak np. Largetho Beethovena, które odegrał Thomson, jakby od niechcenia, nierówno a nawet niezupełnie czysto, to znowu wznosiło się na najwyższe szczyty, do jakich w dzisiejszych czasach doszła gra skrzypcowa. Przepiękna sonata Tartiniego, najeżona w części z waryacyami technicznemi trudnościami, w interpretacyi Thomsona porywała swojem dzikiem zacięciem i namiętnością. W niej dopiero poznaliśmy w Thomsonie olbrzymiego artystę, technicznie niezrównanego w oktawach, nieskazitelnych pasażach i innych biegnikach. Wogóle Thomson posiadłszy już wszystkie tajemnice techniki skrzypcowej, uważą ją za coś nieodzownego wprawdzie, ale stojącego na drugim planie. Najgłówniejszem jest u niego wniknięcie w ducha kompozycyi, jak to uczynił w sonacie Tartiniego. Inne utwory jak np. Wieniawskiego Tarantellę i Sarassatego „Tańce“, grał Thomson w przyśpieszonych tempach i bardzo efektownie.

Przy porównaniu z Burmestrem, które mimowoli się samo nasuwa, musimy przyznać, że gra Burmestra jednolita od początku do do końca, nieskazitelna, daje więcej rozkoszy duchowej, cichej, skupionej i słonecznej, choć Thomson prędzej porwać potrafi.

P. Delune akompaniował pięknie, a jako solista przedstawił także niepospolitą, dziką nieco i rozwichrzoną indywidualność. Jako kompozytor sonaty, którą nam z manuskryptu odegrał, zaszkodził sobie bardzo. Długa ta i nudna historya fortepianowa, przedstawia zbiorowisko bezmyślne tonów we wszystkich możliwych kombinacyach, pozbawione jakiejśkolwiek myśli przewodniej, albo przynajmniej miłej dla ucha melodyi. Oklaski rzeczywiście były tylko dla konwenansu i z grzeczności. P. Fuchs mimo fenomenalnego głosu (najformalniejszy bas żeński), i widocznego zrozumienia, z jakiem odśpiewała pieśni Glucka i Pergolesego, nie podobała się nikomu, bo tony niskie brzmią u niej nieprzyjemnie dla ucha, a przejścia do wysokich rażą. Jedynie parę tonów w średnicy brzmiało przyjemnie.

Towarzystwo muzyczne przygotowuje na trzeci doroczny swój koncert IX. Symfonię Beethovena. Dzieło to nie grane u nas dotąd, powinno wzbudzić wielkie zainteresowanie.

* * *

P. Camillowa po dłuższej przerwie, którą wypełniła założeniem jednej z najlepszych szkół śpiewu we Lwowie, wystąpiła znów w „Łucyi z Lammermooru“ Donizettiego. P. Camillowa jest nieposlednią śpiewaczką. Głos przepiękny, metaliczny, pełny i równy nieskazitelnie, a mimo to wszystko czuły i subtelny, we wszystkich śpiewaczych biegnikach, to najgłówniejsza zaleta p. Camillowej. I ta okoliczność potrafi zupełnie pokryć pewne nieznaczne wady, których bystry obserwator dopatrzyć się potrafi w części scenicznej, bo od śpiewaka przedewszystkiem domagać się musimy głosu. „Łucya“ należy do najlepszych kreacyi p. Camillowej. Po scenie obłąkania, odezwały się długotrwające oklaski. Wogóle publiczność przyjęła p. Camillową bardzo ciepło i sympatycznie. Radzibyśmy usłyszeć p. Camillową jeszcze i w innych partyach, bo dziś rzeczywiście nie posiadamy we Lwowie śpiewaczki tej miary, jak p. Camillowa. P. Warmuth popadł w dwie ostateczności. Albo nadużywa falsetu, albo atakuje krzykliwie wysokie tony, odbierając przez to swemu głosowi wszelką barwę i miękkość. Partya Edgara nie nadaje się dla p. Warmutha, jako ściśle liryczna. Nie chcemy przez to powiedzieć, że p. Warmuth nadaje się do bohaterskiej partyi Lohengrina. I tam i tu jest nieznośny. A grę Łucyi niech już panu Warmuthowi sam Pan Bóg przebaczy. Śmieszny ruch wskazującym palcem, stał się już jego manierą, która go nie opuszcza, ani na łódce z łabędziem, ani w budzie Pajaców, ani w sali szkockiego zamku. Operę wykonano jak wszystko za nowej dyrekcyi starannie i z bardzo pożądanemi skróceniami.

h.—z.

TEATR.

(„Psyche“, Zofii Wójcickiej.)

„Tragedya dziecinna dla dorosłych ludzi“ — jak swą sztukę panna Wójcicka przezwała — jest dziełem talentu fermentującego, ale jeszcze niedowarzonego.

Bezowocnym byłoby tedy trudem wykazanie wszystkich jego błędów, czyto w dziedzinie zewnętrznego aparatu i faktury samej sztuki, czyto wewnętrznego jej ustroju t. j. podkładu psychologicznego. Faktem jest, iż panna Wójcicka ma olbrzymi talent, którego rozwój znajduje się obecnie w stadyum przyjmowania na własność i przetwarzania wszelkich pierwiastków twórczych z zewnątrz płynących. Wskutek tego sztuka panny Wójcickiej przepojoną jest wieloma reminiscencyami z Maeterlincka, Bourgeta, Przybyszewskiego, Kisielewskiego i innych; z chwilą kiedy uwolni się od tych naleciałości, a swe tworzywo oprze o samorodne pierwiastki, dramat jej przedstawiać będzie wartość z pewnością nadzwyczajną. A że to zdziałać potrafi, o tem świadczy już bardzo wiele symptomatów. Choćby i sam pomysł, na którym opiera się jej „Psyche“. Streszcza się ona w jednem zdaniu: Uzmysłowić proces budzenia się duszy u młodych ludzi, a na tem tle wybudować tragedyę, wynikającą z nienależytego pokierowania tym rozwojem psychicznym, a wreszcie rzucić tym wszystkim, którzy lekkomyślnie u swych córek i synów zaniedbują pieczy podczas tego procesu kształtowania się duszy, jedno wielkie: „caveant“! Pomysł ten jest wielkim, oryginalnym i dramatycznym, tak, iż mimo wszystkie, często bardzo rażące błędy dramatu, spowodował chwilami złudę, iż „Psyche“ jest dziełem rzeczywiście poważnem i wartościowem. Taka tu siła pomysłu.

Jeżeli, jak sama autorka wyrazić się miała, dramat swój trzy razy widzi: raz jako rzecz pomyślaną, drugi jako napisaną, a trzeci jako na scenie przez innych odtworzoną — to stanowczo między dramatem przez nią pomyślanym, a napisanym wielki rozdźwięk panuje. Tamten był wielkim, wspaniałym, ten ostatni małym, ideowo wypaczonym, psychologicznie naciągniętym.

Taki sam pomysł miał na myśli Przybyszewski, kiedy w swej najnowszej powieści „Synowie ziemi“ taki wypatruje temat dramatyczny: „Przedstawić serce, mózg człowieka na scenie, powyciągać te robaki z serca, z mózgu, upostaciować je, postawić na nogi, zrobić z nich żyjących ludzi, którzy się nawzajem zagryzują, szarpią, krwawią, rzucają się na wspólną ofiarę.. Zrobić taki wściekły karnawał serca ludzkiego, zrobić rzecz, która się dzieje w jednem sercu, a każde inne musi drgnąć, bo i w niem to samo się dzieje — i w trzeciem to samo i w dziesiątem.. Powiązać to wszystko tak, że to żyje, pozostaje we wzajemnym stosunku, szarpie to biedne serce człowiecze, pcha je w przepaść, podrzuca jak piłkę w górę, znowu strąca w otchłań...“

Pomysł analogiczny, tylko że go panna Wójcicka ucieleśnić nie potrafiła — —

b.—m.

Nowości literackie.

Bronisław Grabowski. — **Prorokini** (Światłość w ciemności). Dramat historyczny w 5 aktach.

Bohaterką dramatu niniejszego jest słynna swojego czasu Krystyna Poniatowska, córka Juliana, szlachcica polskiego, wielce zasłużonego w dziejach braci czeskich.

Krystyna, urodz. w r. 1620 w Leszczynce w Małopolsce, po śmierci matki oddana została na dwór baronowej Engelburg-Zelking, zkąd w r. 1642 wyszła za mąż za Daniela Vetter'a, Morawczyka. Umarła w r. 1644.

Była to kobieta uczona, pisała dzieła po łacinie, szczególnie zaś słynęła ze swych przepowiedni i objawień, które, jak utrzymują, wszystkie się spełniły. Przepowiednie te jej opisane zostały przez J. Komeniusza (Komensky'ego), który był ich naocznym świadkiem i umieszczone w wydanem dziele „*Lux in tenebris*".

Dramat ten nie jest dziełem natchnienia poetyckiego, ale daje dokładną charakterystykę ówczesnej epoki i odznacza się doskonałym rysunkiem występujących w nim figur. Krystyna, w interpretacyi Grabowskiego, robiłaby niewątpliwie duże wrażenie ze sceny, gdyby dramat ten ujrzał światło kinkietów. Pisany wierszem gładkim, potoczystym, odznaczający się zrównoważeniem czynników historycznych i artystycznych, pomyślany głęboko i opracowany starannie, utwór ten zajmie jedno z wybitniejszych miejsc w puściźnie po niedawno zmarłym autorze.

Przyjaciel Czechów i wytrawny znawca ich dziejów, „Prorokinię" poświęcił ś. p. Grabowski jednemu z wybitniejszych synów ziemi czeskiej, drowi Zygmuntowi Winterowi, członkowi akademii w Pradze i Krakowie.

* *

Wilhelm Feldmann. **„Cudotwórca".** Sztuka w 4 aktach.

Rzecz dzieje się w zapadłem miasteczku galicyjskiem. Bohaterem sztuki jest młody żyd, Gabryel, syn ubogich rodziców, który posiadł wszelkie mądrości i tajemnice Thory i talmudu, a popierany przez cadyka-cudotwórcę, ma widoki na osiągnięcie godności rabina. Atmosfera duszna, zatęchła, straszna otacza go, ciemnota wzięła go w swój uścisk dławiący, przesłoniła mu oczy, ale on tego nie odczuwa, nie widzi, bo w tej atmosferze i w tej ciemności rósł od dzieciństwa. Dopiero miłość ku pięknej Perli, córce bogacza Altera, żydówce postępowej, ożywionej ideałami pracy społecznej, jak promień słońca pada na skostniałą duszę Gabryela i budzi go do nowego życia, którego hasłem jest walka i cierpienie.

Cały świat żydowski, ze wszystkiem, co w niem jest złe, przesądne, cały ten mrok duchowy, który za sobą wlecze lud Izraela przez tyle wieków, i z którego ta czarna masa, przez swoją odrębność wyznaniową i konserwatyzm, mimo wpływu kultury zachodniej, wyzwolić się nie może, wszystko to, co stanowi istotę i treść żyda prawowiernego i przez to prawowierność swoją nieszczęśliwego — odtworzył p. Feldmann dobrze, z całą znajomością ludzi i rzeczy.

Oceniając sztukę tę ze stanowiska czysto literackiego, zaznaczyć możemy, że świadczy ona o stałym postępie w twórczości dramatycznej p. Feldmanna.

Ze świata.

Ludwik Czernatony, jeden z najwybitniejszych dziennikarzy węgierskich, zmarł w tych dniach w Peszcie i został pochowany z wielką okazałością; cały peszteński świat polityczny i literacki pośpieszył oddać zmarłemu ostatnią posługę. Czernatony był sekretarzem Kossuth'a podczas walk o niepodległość, a wygnany z ojczyzny przebywał długie lata we Francyi, w Anglii, Ameryce i we Włoszech. Do Pesztu powrócił w r. 1867 i odtąd poświęcił się dziennikarstwu, które uważał za narzędzie polityki; zasiadał też w gronie deputowanych i był wiernym przyjacielem Kolomana Tiszy. Dożył lat 78. Zanim umarł, rozporządził, aby po śmierci przekłóto mu serce, odziedziczył bowiem po matce trwogę przed letargiem. Żądaniu temu uczyniono zadość.

*

Paryż kolonią cudzoziemców. Z powodu zakończonej zmowy krawców damskich i szwaczek w Paryżu, która wykazała, że 95% to cudzoziemcy i cudzoziemki, poruszono znów sprawę tych obcych przybyszów, przyczem wykryto, że na dwa i pół miliona mieszkańców 402.465 są cudzoziemcy. Dzielą się oni na 27 narodowości; między temi Anglików jest 25.090, Luksemburczyków 25.501, Szwajcarów 52.882, Włochów 62.381, Niemców 69.297 i Belgijczyków 87.797. W ostatnich latach wzrost cudzoziemców w stolicy Francyi był bardzo znaczny: od r. 1896 do 1900 powiększyła się ich liczba z 237.000 na 402.465.

*

Alkohol w szkole. Wiedeńska okręgowa rada szkolna poleciła wszystkim kierownikom szkół zebrać dane dotyczące konsumcyi alkoholu przez dzieci uczęszczające do szkoły. W niektórych szkołach stwierdzono tedy, że wszystkie dzieci, nawet z klasy pierwszej, używają napojów alkoholowych, a mianowicie przy jedzeniu, kiedy rodzice sami dają im piwo i wino. Piwo pije 50 prc. dzieci, wino — 48 prc., a wódkę — 2 prc. Po za obiadami piją rzadko kiedy, — zdarza się to tylko chłopcom sprzedającym po restauracyach papierosy, zajętym tamże przy czyszczeniu nakrycia lub ustawiającym kręgle. Z dziećmi, które nie używałyby codziennie alkoholu, nie spotkali się zbierający owe dane. Co do wpływu alkoholu na sprawowanie i postępy w naukach stwierdzono, że dzieci, które w domu dostają wino, mają umysł bystrzejszy, są bardziej rozwinięte od innych uczniów.

*

Baron Stumm, zmarły przed paru dniami w Berlinie, przyjaciel i doradzca cesarza Wilhelma, należał do potentatów przemysłowych Niemiec. Wraz z Kruppem miał on monopol na fabrykacyę płyt stalowych dla niemieckich okrętów wojennych, co przynosiło zyski milionowe. Nie dalej jak przed dwoma tygodniami komisya budżetowa parlamentu niemieckiego protestowała przeciwko wyłącznym przywilejom, udzielonym tym dwom przemysłowcom. „Król Stumm", jak go nazywano w Neukirchen, uszlachcony za cesarza Fryderyka, pozostawał stale w najlepszych z dworem stosunkach. Kiedyś przyjmował Wilhelma II. w swoim zamku Halberg z przepychem, na który nie mogłoby sobie pozwolić niejedno książątko niemieckie. Brał też stały udział w wielkich polowaniach cesarskich. Wywierał na cesarza znaczny wpływ reakcyjny.

Bańki mydlane.

Muzo! buciki długie bierz,
W puszyste boa otul szyjkę!
I w moje ślady z lutnią śpiesz,
O ile lubisz nowalijkę!
Największa pora bowiem już,
Jak warzywnicze chcą „pandekta" —
Za ogrodniczy chwycić nóż,
Opatrzeć szklarnie i inspekta!
Wyuczę sztuki cię tej w lot!
Z mazurska przeto mówię: „śpiesz-wa"!
Patrz! słonko złoty rzuca splot,
Cieplikiem grzeje końska mierzwa!
Przesianej ziemi czarny pył
Z wilgotnej grudki strzelił majem...
Patrz! szpinak już w niebo wzbił!
Sałatka grzędą siadła gajem!
Cukrowy groszek kręci wąs,
Szczaw już szablastą rozwił zieleń,
Rzodkiewki kłęby idą w pons,
Ogórek rożki ma jak jeleń,
Brukiewka wiotką wznosi nać,
Kapusta włoska liść rozkłada!
Za jaki miesiąc na stół brać!
Dopiero-ż, Muzo, będziesz rada!
Zgaduję: łykasz ślinkę już!
Pierś ci wezbrała od natchnienia!
Ale, kochanko, lutnię złóż
I weź się luba do... pielenia!
Potem opatrzym okien rzęd —
Chroniąc matami od przymrozku —
Nasionka nie są rogem stąd —
Dbać o nie trzeba więc po... włosku!
To nie z tej ziemi rdzerny ród,
Co to przetrzyma wichry, burze...
Zaszkodzi lekki nawet chłód
Tej cieplarnianej ich naturze!
To nie ta nasza polna nać,
Co jej śnieg życia nie wyziębi,
Co w każdej doli umie trwać,
Co korzeń puszcza coraz głębiej!
Trzymać to trzeba po pod szkłem,
Zanim zawita dzionek skwarny —
Co ci to, Muzo! Wiem już, wiem!
Dla ciebie milszym chlebuś czarny!
Milsze ci stokroć łany zbóż,
Co z wieka wieków żywią chaty!
Milsze... Wiem, luba! Chodźmy już!
Pal dyabli szpinak i sałaty!

El.

Wydawca: **K. Kołakowski.** Odpowiedzialny redaktor: **Wład. Strzelecki.**

Z drukarni „Dziennika Polskiego" (Dra Felixa Woynarowskiego) pod zarządem Franciszka Kattnera, ul. Cicha l. 5.

Jako dobrą i pewną lokacyę

polecamy

4% Listy hipoteczne koronowe,
4½% Listy hipoteczne,
5% Listy hipoteczne premiowane,
4% Listy Tow. kred. ziemskiego,
4½% Listy Banku krajowego,
4% Listy Banku krajowego,
5% Obligacye komunalne Banku kraj.
4% Pożyczkę krajową,
4% gal. Obligacye propinacyjne,

Papiery te sprzedajemy i kupujemy po najdokładniejszym kursie dziennym.

Kantor wymiany

c. k. uprzyw. galicyjskiego akcyjnego

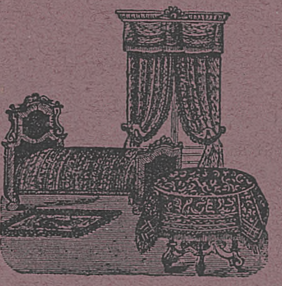
Banku hipotecznego.

11—52

Gotówka nie wymagana.

Ulgi w spłatach wedle umowy.

Cenniki na prowincyę na żądanie gratis i franco.



Wszelkie możliwe gatunki dywanów salonowych, ściennych, pokojowych i kościelnych, tudzież chodników, portyer, firanek, cerat linoleum, kap na stoły i łóżka, kołder, koców, der na konie i przedmiotów dekoracyjnych poleca znana i renomowana firma

Wiedeński magazyn i skład dywanów

„AU LOUVRE“

we Lwowie, ul. Sykstuska l. 6.
(pasaż Hausmana)
Filia w Przemyślu ul. Mickiewicza l. 4.

Prawdziwe perskie i oryentalne dywany po zniżonych cenach. — Specyalny oddział resztek i towarów wysortowanych i wadliwych.

15—44

Ferdynand Güttler

Magazyn towarów modnych

Lwów, ul. Halicka l. 20.

Towar doborowy	**Boa gazowa**	**Aplikacye**
Wielki wybór	**Szale jedwabne**	**Pasmanterye**
Ceny niskie	**Żaboty**	**Paski**
	Weloniki	**Gorsety.**

20—52

TUTKI

ze specyalnej bibułki „ABADIE“

„PRIMUS“

są powszechnie uznane
za najlepsze!

Wszędzie do nabycia.

FABRYKA
LWÓW
MICKIEWICZA L. 2

19—52

KAROLA BAŁŁABANA następca

Józef Oźmiński, Lwów, Halicka 23.

poleca **HERBATY chińsko-rosyjskie**

ciemno naciągające aromatyczne w najlepszej jakości:

Pół klg. kongo cesarsk. zł. 2·—		Pół klg. imperial . . zł. 5·—
„ „ familijnej . . „ 3·—		„ „ okruchów (wysiewek własn.) „ 1.60
„ „ melange . . „ 4·—		

Kawy bezpośrednio sprowadzane

w woreczkach po 4¾ klg. opłacone do każdej stacyi pocztowej.

4¾ klg. Ceylon najlepszy zł. 10·70		4¾ klg. Santos . . . zł. 6·50
„ „ „ gruboziar. „ 10·40		„ „ Ceylon perłow. „ 10·70
„ „ „ b. dobrej „ 10·—		„ Mocca arabsk. „ 10·70
„ „ Portorico . . . „ 9·20		„ „ Jawy złotej . „ 10·70
„ „ Karakas arom. b. dobrej . . . „ 7·—		☞ **Kawy palone** w najlepszych gatunkach.

1—4

!Portrety olejne!

Wedle fotografii na płótnie.

!!!Zadziwiająco tanio!!!

a także i na raty.

Wykonywane w kraju.

Jedyna agencya

K. CZAPEK

we Lwowie 7—?

ulica Kochanowskiego 18.

Skład wędlin

M. Kamińskiego

Lwów

Hotel Georga

Poleca zawsze świeże wędliny szczególnie kiełbasę do gotowania „SECESSION“.

Wysełka za pobraniem.

Ceny umiarkowane — dla odsprzedających znaczny rabat.

8—8

W interesie ludzkości!

Kto chce być zdrowym niech pije

KAWON

Jest to kawa pozbawiona alkaloidów, a tem samem wszelkich narkotyków, które drażnią nerwy, szkodliwe są na serce i na piersi. Kawon powinni pić osłabieni i rekonwalescenci, dzieci i anemiczni. Przyrząd za się go zupełnie tak samo, jak kawę t. j. zaparza w maszynce lub gotuje się z mlekiem lub śmietanką, bez żadnej domieszki cykoryi. Sądzę, że społeczeństwo nasze zechce zrozumieć doniosłość tege wynalazku dla dobra własnego, a jestem przekonany, że kto raz spróbuje Kawonu, kawy pić nie będzie.

Cena pakietu na 12 szklanek 40 hal. (20 ct.)

Uprasza się zwracać baczną uwagę na markę ochronną z serduszkiem.

Dostać go można we wszystkich handlach korzennych i drogueryach.

Zamówienia na prowincyę od 10 paczek wysyła kantor, Lwów, Chorążczyzna 19.

7—12

Artur Doliński i sp.

DOM BANKOWY i KANTOR WYMIANY

SOKAL i LILIEN

we Lwowie, ul. Hetmańska l. 12 (Hotel Langa)

kupuje i sprzedaje listy zastawne Towarzystwa kredytowego, gal. banku krajowego, jakoteż obligacye komunalne banku krajowego i obligacye gal. pożyczki krajowej i wszelkie renty, losy rządowe i prywatne, akcye kolejowe i obligacye pierwszeństwa, również wszelkie monety krajowe i zagraniczne pod najkorzystniejszemi warunkami.

Przyjmuje za mierną prowizyą wszelkie zlecenia wchodzące w zakres interesów bankowych. 21—52

Zlecenia z prowincyi wykonuje jak najrychlej.

Nowo otworzona restauracya w pasażu kryształowym

niniejszem ogłasza Sz. P. T. Publiczności, iż lokal otwarty do godziny 1. w nocy przy muzyce pułku 30-go.

Zaopatrzona w doborowe gatunki win, likierów i wódek oraz świeże piwo pilzneńskie.

Kuchnia zadowolnić może najwybredniejszych smakoszy; udowodnić mogę podziękowaniami, jakie otrzymałem za smaczne i punktualne wykonanie.

3—52

Z szacunkiem

LEON ORŁOWSKI.

Z drukarni „Dziennika Polskiego“, ul. Cicha 5.